

N1586_e_FINAL_1_3_1

Ryszard Witkowski: Nazywam się Ryszard Witkowski. Rocznik 1926, a więc należący do pokolenia, które dojrzewało przed wojną, dorastało do męskiego działania w czasie wojny i po wojnie robiło co mogło. W czasie wojny byłem żołnierzem najpierw Narodowej Organizacji Wojskowej, a później, po scaleniu z Armią Krajową, żołnierzem Armii Krajowej. Mieszkalem przez całą wojnę w Milanówku pod Warszawą, w miejscu gdzie się urodziłem, w związku z tym nie byłem uczestnikiem powstania warszawskiego, natomiast byłem uczestnikiem kontaktów, lotniczych kontaktów, Armii Krajowej z samolotami przylatującymi z zaopatrzeniem. Zrzuty wykonywane dla Armii Krajowej były wykonywane właśnie w okolicach Milanówka i Grodziska Mazowieckiego i Armia Krajowa, do której należałem, po prostu obsługiwała tę akcję zrzutową, najpierw zabezpieczając zrzutowiska, a później funkcjonując w magazynie. Po wojnie rozpocząłem studia w Szkole Inżynierskiej Wawelberga i Rotwanda, bo dowiedziałem się, że tam jest inaugurowany Wydział Lotniczy. Lotnictwo dla nas, dla pokolenia, które wyszło z wojny, w czasie której praktycznie lotnictwo dla nas, dla młodzieży żyjącej tutaj w Warszawie i okolicy, było czymś właściwie bardzo odległym. Skorzystałem natychmiast ja i wielu kolegów z tej szansy i moje kontakty z lotnictwem zaczęły się w związku z tym w 1945 roku na dwóch płaszczyznach, na płaszczyźnie studiów w Szkole Inżynierskiej Wawelberga i Rotwanda i w sporcie szybowcowym, do którego ruszyliśmy szturmem w studenckiej organizacji noszącej nazwę Koło Lotnicze. Już latem 1945 roku byłem uczestnikiem pierwszego po wojnie kursu szybowcowego zorganizowanego w Rządowie w Wielkopolsce, gdzie lataliśmy jeszcze na szybowcach noszących niemieckie swastyki. Myśmy własnoręcznie te swastyki likwidowali. Następnie byłem uczestnikiem bardzo oryginalnego kursu, szkolenia szybowcowego w Gronowie. To było przed wojną, w Niemczech funkcjonowały takie dwa główne ośrodki szybowcowe, Wasserkuppe i Grunau. Grunau to była wioska koło Jeleniej Góry, ówczesnego Hirschbergu, i my, dowiedziawszy się, że na ziemiach odzyskanych jest to sławne Grunau, pojechaliliśmy tam, przeżywając dosyć dramatyczne okoliczności. I dosyć oryginalnie, bo instruktorem naszym był Niemiec, niemiecki instruktor tej szkoły. Po prostu nie było polskich instruktorów. Byli chętni młodzi ludzie tacy jak ja i koledzy, którzy chcieli na szybowcach latać, nie miał kto ich szkolić, Ministerstwo Komunikacji zezwoliło staremu niemieckiemu instruktorowi z Grunau, Willemu Kürtenowi, żeby nas szkolił. Był to chyba jedyny Niemiec, który mógł zaraz po wojnie jeszcze latać. Ciekawostką może być to, że w tej grupie dwunastoosobowej, którą żeśmy w Grunau we wrześniu 1945 roku byli, jednym z nas był Rajmund Kaczyński, ojciec obecnego prezydenta Rzeczypospolitej. W 1946 roku nasza studencka organizacja szturmem wtargnęła w lotnictwo motorowe samolotowe. Znowu dowiedzieliśmy się, że na Opolszczyźnie jest organizowana pierwsza po wojnie szkoła dla cywilnych pilotów, ale z zastrzeżeniem, dla tych, którzy

latali przed wojną, a mają tylko przywrócić kwalifikacje. Studenci z Warszawy i z Krakowa ten drugi warunek kompletnie zlekceważyli i w efekcie szkolenie w tej pierwszej cywilnej szkole powojennej w Ligotce Dolnej na Opolszczyźnie było obsadzone praktycznie przez zielonych młodych ludzi takich jak ja, a nie przez tych przedwojennych emerytów, którzy mieli być tylko tam odświeżani. Potem przyszedł w lotnictwie, we wszystkich jego gałęziach, bardzo trudne lata. Mianowicie od 1948 roku, kiedy w ogóle w Polsce zaczęło się tak zwane przykręcanie stalinowskiej śruby, przez lotnictwo przeszła żelazna miotła weryfikacji, wyrzucająca poza granice lotnisk, poza granice pracy w lotnictwie, poza aerokluby wszystkich, którzy nie odpowiadali tej zasadzie: kto nie z nami, ten przeciw nam. Każdy chodzący do kościoła, mający znajomych za granicą, a już w ogóle akowiec w czasie wojny... wszystkich nas wyrzucono brutalnie z latania na pięć lat. Do odwilży w 1956 roku. W 1956 roku rzeczywiście nastąpiła możliwość powrotu. Fantastyczną rolę wówczas odegrał, że tak powiem, dla odbudowy tej jakiejś atmosfery i chęci uczestniczenia w życiu lotnictwa pan generał Frey-Bielecki, dowódca wojsk lotniczych. On należał do tych takich partyjnych reformatorów, którzy chcieli, że tak powiem, przywrócić normalność. I wtedy w 1956 roku, ja po czterech... po pięciu praktycznie latach nieobecności w lotnictwie wróciłem do lotnictwa, do pracy w lotnictwie, w Głównym Instytucie Lotnictwa, w ciekawym momencie, mianowicie w momencie, w którym rodziła się w Polsce nowa gałąź lotnictwa. Zaczynały się helikoptery, zaczynały się śmigłowce. Wprawdzie w Polsce podejmowano próby budowania eksperymentalnych maszyn, ale tak na poważnie to śmigłowce w Polsce zaczęły się w 1956 roku, kiedy ze Związku Radzieckiego została zakupiona licencja produkcyjna i w Świdniku rozpoczęto produkcję radzieckiego śmigłowca Mi-1, noszącego polskie oznaczenie SM-1. I jak rozpoczęto produkcję, no to ktoś musiał do latania na tych maszynach jako pierwszy być przygotowany. I znowu udało się, tak jak zaraz po wojnie żeśmy wskakiwali w pierwsze kursy szybowcowe, w pierwsze kursy samolotowe, tak mnie nawet w pewnym sensie dzięki tej pięcioletniej zsyłce... bo wróciłem, praktycznie rozglądając się, gdzie tu się zacząć na poważnie i nagle ruszał tramwaj z napisem "śmigłowce". I dzięki decyzji ówczesnego dyrektora Instytutu Lotnictwa, pana inżyniera Jana Chylińskiego, który jest znowu... też w pewnym sensie miałem szczęście, tu z ojcem obecnego prezydenta byłem w Gronowie, a na latanie na śmigłowcach zdecydował się syn Bolesława Bieruta, inżynier Jan Chyliński. Wszedłem w skład pierwszej pięcioosobowej grupy Polaków, którzy się nauczyli na poważnie latać na helikopterach. Dwóch było z wojska, dwóch było z fabryki, fabryczni piloci, i ja byłem z Warszawy, z Instytutu Lotnictwa. I od tego momentu rozpoczął się mój, trudno powiedzieć: romans, można powiedzieć: małżeństwo ze śmigłowcami, które trwało aż do odejścia na emeryturę trzydzieści lat później. Śmigłowce spowodowały... I moje zaangażowanie w śmigłowcach na różnych polach, sportu, produkcji, użytkowania, eksperymentów, przeżyłem fantastyczne zawodowe życie,

zwiedzając praktycznie nieomal cały świat, bo z wyjątkiem Australii i Ameryki Południowej to latałem polskim śmigłowcem na wszystkich kontynentach. Było to piękne przeżycie. Kiedy doszedłem do etapu, kiedy mogłem już odejść na emeryturę, jako żołnierz, jako kombatan wojenny, jako pilot zawodowy, miałem prawo odejść na wcześniejszą emeryturę w wieku lat sześćdziesięciu. Był to rok 1986. I tak się zbiegło, że w tym czasie również dosyć ciężko zachorowałem. I w efekcie zostałem w 1986 roku jako zawodowy latający pilot zdyskwalifikowany. I wtedy rozpocząłem nowe życie. Okazało się, że pilot zawodowy z dużym doświadczeniem, takim jakim udało mi się być, odchodząc na emeryturę, wcale nie odchodzi w tak zwany stan spoczynku. Przeciwnie, przechodzi w stan aktywności, tyle tylko że zupełnie innej. Od tego momentu, czyli w ciągu tych ostatnich ponad dwudziestu lat, popełniłem kilkanaście książek, kilkaset artykułów, odbyłem mnóstwo bardzo ciekawych podróży zagranicznych. Krótko mówiąc, nie był to absolutnie okres żadnego spoczynku. I między innymi nie był okresem spoczynku dlatego, że właśnie w 1986 roku zostałem zachęcony do wstąpienia do Warszawskiego Klubu Seniorów Lotnictwa. I zobaczyłem, że jest to fantastyczne miejsce, że to jest żywa historia. Wspaniali ludzie, wspaniałe tematy, wspaniałe zadania, wspaniałe osiągnięcia. I dzisiaj, kiedy klub obchodzi też swoje siedemdziesięciolecie, ja z największą przyjemnością i satysfakcją podjąłem się opracowania na tę okazję tej broszurki, którą zapewne państwo widzieliście, pod tytułem "70 lat Warszawskiego Klubu Seniorów Lotnictwa". Gorąco zachęcam do zapoznania się z nią. Jest takie modne, że autor zachęca do zapoznania się z jego dziełem. Dosyć bezwstydnie czynię to samo. Dziękuję bardzo.

Anna Pietraszek: Dziękujemy. A jaki jest do pana kontakt?

Ryszard Witkowski: Proszę pani, dam pani wizytówkę.

Anna Pietraszek: Dobrze. My niestety nie mamy...

Ryszard Witkowski: ...wśród narodów świata, bo w czasie wojny, w ostatnich miesiącach wojny, w ostatnich trzech miesiącach, matka, ja i siostra żeśmy pomogli trójce Żydów. Otrzymałem w związku z tym od Instytutu Yad Vashem dyplom i medal Sprawiedliwego Wśród Narodów Świata oraz obywatelstwo honorowe państwa Izraela. Państwo nie wiecie, ale macie kontakt w tej chwili z honorowym obywatelem państwa Izraela. Tak. Ale to jeszcze nie koniec, bo wie pani, to było w 1994 roku, ta Impreza z Yad Vashem i ze "sprawiedliwym" się odbyła. I to był taki gest ze strony, powiedzmy, tej żydowskiej strony, sympatyczny. Wszyscy, ta cała uratowana trójka, żyła a oni właśnie wnioskowali i tak dalej. Myśmy mieli pewną moralną satysfakcję, że zrobiliśmy dobry uczynek w czasie wojny. I mijały

lata, i nagle, w bieżącym roku, dowiaduję się, że poszukuje mnie i mojej siostry Kancelaria Prezydenta Rzeczypospolitej.

Anna Pietraszek: W którym roku?

Ryszard Witkowski: W tym roku, w 2009, w sierpniu. Pytam się, o co chodzi? "A, proszę pana, w Łodzi ma być odsłonięty Pomnik Polaków Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata i tam będzie wyryte Pańskie nazwisko. I my chcemy po prostu prosić pana o uczestnictwo w odsłonięciu tej uroczystości". I ja z siostrą, myśmy wyrazili zgodę, wsadzili nas rzeczywiście w autokar, powieźli do Łodzi, posadzili na krzesła, po czym przyjechał pan prezydent Rzeczypospolitej, Lech Kaczyński, i odznaczył nas komandorskimi krzyżami Polonia Restituta. Więc to było najbardziej nieoczekiwane zakończenie pewnego wojennego epizodu. Po sześćdziesięciu kilku latach nagle doszło do takiego zdarzenia. Nie lotnicze, ale zaskakujące i ciekawe chyba.

Anna Pietraszek: Pytanie, czy w takim razie może...

N1586_e_FINAL_2_3_1

Ryszard Witkowski: Nazywam się Ryszard Witkowski i jestem jednym z dwojga dzieci mojej matki, Felicji Witkowskiej, z domu Brodowskiej, która w 1922 roku wyszła za mąż za Józefa Witkowskiego, mojego ojca, pochodzącego z ziemi dobrzyńskiej, okolic miejscowości Golub-Dobrzyń, która jest historycznie związana z postacią Anny Jagiellonki. Mój ojciec pochodził z pogranicza. Granica zaborów rosyjskiego, niemieckiego i pruskiego była na Drwęcy, biegnącej właśnie w okolicach, gdzie się urodził mój ojciec, i dzięki temu ojciec uczestniczył w tym zjawisku, które było popularne na tamtym terenie, czyli szmuglu i przemyśle przez Drwęcę. Znał niemiecki i rosyjski, bo rosyjską szkołę kończył, no i polski, bo po polsku się mówiło w domu. I dlatego w 1918 roku, kiedy powstała Polska, a ojciec miał już kwalifikacje nauczyciela ludowego, wstąpił na ochotnika do armii polskiej i został skierowany na kurs oficerski. I jako podchorąży następnie, kiedy rozpoczęła się wojna z bolszewikami, uczestniczył w tej wojnie, kończąc kampanię na Litwie. Niestety ojciec wojnę ukończył również jako inwalida i mimo tego, że ukończył szkolenie jako oficer, został przeniesiony do rezerwy i rozpoczął pracę jako urzędnik pocztowy w Żyrardowie, i tam w bliżej mi nieznanych okolicznościach poznał się z matką, pochodzącą z kolei z Lubelszczyzny, z Biłgoraja. I tak się rozpoczęło małżeństwo Witkowskich, Józefa i Felicji. W 1923 roku ojciec został awansowany na kierownika nowo utworzonej poczty w Milanówku, osiedle letniskowe w okolicach Warszawy, na południowy zachód od Warszawy. I tam się ja urodziłem 9 Maja 1926 roku. Ojciec niestety zmarł, bo był inwalidą, jak wspominałem, inwalidą wojennym w czasie wojny bolszewickiej, i zmarł w 1928 roku, kiedy

miałem dwa lata, tak że ojca nie pamiętam zupełnie. Natomiast matka w bohaterski sposób wychowała mnie i siostrę, pracując, prowadząc w Milanówku zakład fotograficzny. Ten zakład fotograficzny odegrał pewną rolę w całym moim młodzieńczym życiu, przez ładne kilka lat, a w szczególności w czasie wojny. Ale o tym może opowiem później. W Milanówku, które było nietypowym osiedlem warszawskim, nietypowym tym, że było wolne od Żydów. W ogóle nie było... Statut Towarzystwa Lotniczego w Milanówku, które prowadziło parcelację, dóbr hrabiego, sędziego Lasowskiego, zastrzegał, żeby nie było osadnictwa środowiska żydowskiego. I to było bardzo typowe i charakterystyczne, że Milanówek otoczony z jednej strony przez Brwinów, z drugiej strony przez Grodzisk Mazowiecki, miejscowości nasycone środowiskiem żydowskim, było od tego środowiska całkowicie wolne. To też odegrało pewną rolę w czasie wojny, ale zanim wojna wybuchła, to Milanówek był domeną narodowej demokracji i można powiedzieć, że to było oblicze Milanówka, że było bardzo prawicowe i antysemickie. Tam, w Milanówku, należałem jako uczeń szkoły powszechnej do 197 Mazowieckiej Drużyny Harcerzy i nawet osiągając rangę zastępowego zastępu żółtodziobów. W 1938 roku ukończyłem tych sześć klas szkoły powszechnej i zostałem przyjęty na ucznia do gimnazjum państwowego, do którego dojeżdżałem kolejką elektryczną do Pruszkowa. Wędrówka między Milanówkiem a Pruszkowem była moją codziennością. Pruszków z kolei pozostał w pamięci jako wzorzec gimnazjalnego etapu szkolenia. Szkoła nosiła imię Tomasza Zana i była rzeczywiście na tyle wysokim poziomie, że na przykład lekcje łaciny, które pobierałem właśnie w jednej jedynej klasie, w pierwszej klasie gimnazjum w Milanówku, pozostawiły trwałe ślady na całe życie i kontakt z łacińskimi zwrotami, z łacińskimi jakimiś sformułowaniami nie są rzeczą dla mnie całkowicie obcą. Również w Pruszkowie byłem ministrantem, która w owym czasie, to jeszcze okres przedsoborowy, była oparta na liturgii łacińskiej i służba jako ministranta w tamtejszym kościele pruszkowskim była, można powiedzieć, przedłużeniem gimnazjalnej łaciny. No niestety gimnazjalna edukacja skończyła się 1 września 1939 roku. Oczywiście szkoły nie było. Natomiast toczyła się kampania wrześniowa, tragiczna kampania wrześniowa, która przyniosła w Milanówku pewien efekt. Mianowicie Milanówek, środowisko milanowskie bardzo ostro zareagowało na apel wygłoszony w radiu, radiu, które odgrywało rolę równie popularnego medium, jak dzisiaj jest telewizja, apelu niejakiego pułkownika Umiastowskiego, który wzywał wszystkich mężczyzn zdolnych do noszenia broni do ewakuacji na wschód, gdzie miały być tworzone nowe jakieś oddziały. I w Milanówku wybuchła panika. Wybuchła panika, której uległa również moja matka, kierowniczka zakładu fotograficznego. Z Ciechanowa przyjechał tuż przed 1 września syn brata matki, Tadeusz Brodowski, i myśmy zostaliśmy zakwalifikowani, ja i starszy ode mnie o trzy lata Tadeusz, jako zdolni do noszenia broni i przeznaczeni do ewakuacji na wschód. Ja miałem niecałe czternaście lat wtedy. Więc trudno mówić o tym, że byłem

mężczyzną zdolnym do noszenia broni, ale był to rezultat pewnej paniki, która wtedy była autentycznym zjawiskiem i wybuchła właśnie w Milanówku. I 7 września 1939 roku z Milanówka wyruszyła na wschód wyprawa, która miała finał na Polesiu. Bo myśmy pedałowali, pieczołowicie atakowani po drodze przez Niemców z powietrza. Dotarliśmy w okolice miejscowości Sarny na Polesiu, na wschodzie Polski, ówczesnej Polski, kiedy wkroczyła Armia Czerwona. I wtedy przeżyliśmy jedną ciekawą historię. Mianowicie jednostka wojskowa Wojska Polskiego, która była w tej miejscowości, w tej wiosce poleskiej obecna, jak i my, uległa rozwiązaniu, a kasa pułkowa wypłacała wszystkim uchodźcom z centralnej Polski wsparcie finansowe w postaci pliku papierowych pieniędzy, które w kasie znajdowały się właśnie na przypadek wojny. I chociaż tamtejsi mieszkańcy Poleszucy zachowali się w stosunku do nas niezbyt przyjaźnie, pozbawiając nas praktycznie wszystkiego, zaczynając od rowerów, a kończąc na jakichś drobiazgach, rozpoczęliśmy z Tadeuszem powrotną drogę do domu, do Milanówka. Właściwie nie wiedzieliśmy, czy do Milanówka czy do Ciechanowa, ale zaczęliśmy z powrotem wędrówkę na zachód, dysponując jedynie tymi papierowymi pięciozłotówkami. Przypomnieć chciałbym, że przed wojną monety, poczynając od dwóch złotych, były monetami srebrnymi w obiegu. Była srebrna dwójka, srebrna piątka i srebrna dziesiątka. Papierowe pieniądze były wydrukowane i przechowywane w skarbcach na przypadek wojny. I myśmy te niby bezwartościowe, bo zupełnie nieznane, pieniądze przynieśli do Milanówka, i one pomogły przetrwać piekielnie trudną zimą z 1939 na 1940 rok. Była to zima potwornie zimna i śnieżna. Ogromne śnieżyce i silne mrozy. W związku z tym interes matki nie funkcjonował i gdyby nie te papierowe pięciozłotówki, to prawdopodobnie byśmy chyba umarli z głodu. Ale nas na szczęście uratowały. Na wiosnę 1940 roku zostały wprowadzone do obiegu pieniądze Generalnego Gubernatorstwa niemieckiego, okupacyjne pieniądze, i o dziwo te papierowe pięciozłotówki zostały na te okupacyjne pieniądze wymienione. Tak że w pewnym sensie ucieczka na wschód uratowała egzystencję naszej trzysobowej rodziny. Trzysobowej, bo złożonej z matki, starszej ode mnie siostry, Anieli, no i mnie. Wypada chyba powiedzieć parę słów o tym, jak wyglądało dalsze kształcenie. Bo Milanówek był środowiskiem nasyconym przede wszystkim inteligencją i w związku z tym zadbano o to, żeby młodzież nie marnowała się jakoś, tylko kontynuowała naukę w dostępnej wówczas formie. Początkowo były to komplety, kilkusobowe grupy, które na zasadzie konferencji z pojedynczym nauczycielem kontynuowały w jakiś sposób swoją edukację, a następnie w postaci kursów, na które okupant zezwolił, na ich organizację. I w Milanówku zaistniały kursy zarówno dla handlu, Szkoła Handlowa, jak i tak zwane kursy przygotowawcze dla szkół zawodowych. Tytuł jednak był mylący, bo wprawdzie tytuł mówił o przygotowaniu do szkół fachowych, a praktycznie realizowano w nim program gimnazjalny. I to, co zacząłem w Pruszkowie przed wojną, kontynuowałem na tych kursach przygotowawczych w Milanówku,

które zostały praktycznie zrealizowane jako ciąg dalszy gimnazjum. Charakterystyczne, że dyrektorem tych kursów przygotowawczych dla szkół fachowych był jeden z późniejszych profesorów Uniwersytetu Warszawskiego. I tak wyglądała edukacja okupacyjna. W czasie tego kształcenia na poziomie gimnazjalnym, myśmy się po raz pierwszy... "myśmy", czyli młodzież milanowska, zetknęli z młodzieżą z innych rejonów Polski, z którymi kontaktu wcześniej nie było. Była to młodzież związana z grupą Polaków wysiedlonych z Wielkopolski i przesiedlonych do Generalnego Gubernatorstwa w związku z włączeniem Wielkopolski jako Warthegau do III Rzeszy niemieckiej. Ta młodzież, jak ludzie dorośli, przybyli z miejscowości Sieraków nad Notecią w Wielkopolsce i ciekawa rzecz, że bardzo szybko włączyli się w społeczeństwo milanowskie, przywracając niejako jego nawet aktywność, w związku z tym, że Niemcy uderzyli w Milanówek już na samym początku okupacji. Jak wspomniałem, Milanówek był miejscowością nasyconą inteligencją. Bo rzeczywiście, ze względu na ten wspomniany wcześniej statut Milanówek stał się ulubionym miejscem osiedlania emerytowanych generałów, emerytowanych różnych dyrektorów, artystów, między innymi wybudował willę słynny śpiewak Gruszczyński. I ten proces spowodował, że Niemcy uderzyli również, wymierzili pierwszy cios, właśnie w to środowisko. Masowa akcja aresztowań silnie dotknęła to inteligenckie środowisko Milanówka. Ci wysiedleńcy z Wielkopolski byli jak gdyby jakimś zastrzykiem przywracającym ponownie energię w miasteczku, osiedlu, które po tej fali aresztowań trochę przysiadło. I zarówno działalność gospodarcza, jak i produkcyjna w Milanówku rozwijała się dzięki tym Wielkopolanom. I rozwinęła się również dzięki Wielkopolanom silnie antyniemiecka konspiracja. Wszyscy ci Wielkopolanie byli bardzo nastawieni patriotycznie. I chociaż z jednej strony, tak jak wspomniałem, zaktywizowali życie gospodarcze przez uruchomienie restauracji, kawiarni, jak i masarni czy sklepów rzeźniczych, tak samo w sferze antyniemieckiej konspiracji również wnieśli pewne inicjatywy nowe. I ciekawa rzecz, że główną organizacją... Trzeba powiedzieć, że kiedy niemiecka okupacja się zaczęła, to różne środowiska zaczęły się skupiać, żeby z tym okupantem w jakiś sposób walczyć. Inaczej się gromadzili wojskowi, którzy utworzyli najpierw Służbę Zwycięstwu Polski a później Związek Walki Zbrojnej, inaczej się formowali właśnie ci wspomniani już wcześniej endecy, ruchy prawicowe, i one między innymi sięgnęły... o ile można mówić o mackach, sięgnęły swoimi gałęziami do młodzieży. W ZWZ-cie się gromadzili byli wojskowi czy ludzie o kwalifikacjach wojskowych, a Narodowa Organizacja Wojskowa skupiła się na młodzieży. I w 1941 roku ja i kilku moich kolegów zostaliśmy zwerbowani do Narodowej Organizacji Wojskowej, właśnie tej prowadzonej z tego zbrojnego ramienia Stronnictwa Narodowego, czyli do prawicowej organizacji. Tam złożyliśmy przysięgę, nie zwracając specjalnej uwagi na polityczny wydźwięk tej rot, tej przysięgi. A rota mówiła o walce o wielką Polskę. Czyli to był ciąg dalszy przedwojennego ruchu Wielkopolan tak zwanych. Szczęśliwie w roku 1942 powstał czy zaistniał

rozkaz generała Sikorskiego, naczelnego wodza polskich sił i premiera rządu emigracyjnego, o scaleniu wszystkich tych zbrojnych ramion w jedną organizację pod nazwą Armia Krajowa. I w 1943 roku na wiosnę moje całe NOW milanowskie zostało scalone ze Związkiem Walki Zbrojnej, i w ten sposób w Milanówku powstał załączek Armii Krajowej, która doprowadziła do zorganizowania w tamtym miejscu różnych spraw. Wspominam o tym, bo o tyle było ważne, że wiadomo, i to historycy mają rozpracowany ten temat bardzo szczegółowo, Narodowa Organizacja Wojskowa rozpadła się w związku z tym rozkazem Sikorskiego na dwie frakcje, na frakcję, która poszła do armii, scalała się ze Związkiem Walki Zbrojnej i weszła w skład Armii Krajowej, i frakcję, z której powstał NSZ, Narodowe Siły Zbrojne, które, jak wiadomo, miały bardzo różne oblicza i nie mamy z ich powodu być specjalnie dumni. Natomiast ta część NOW, która scalała się z Armią Krajową, to był Milanówek. Milanówek wszedł w skład Armii Krajowej i jak wspominałem, w 1943 roku złożyliśmy nową przysięgę, przybraliśmy nowe pseudonimy i tak się zaczęła przygoda akowska, której owocem między innymi była moja skromna, miałem w końcu tylko naście lat, działalność wojenna. Ukoronowaniem tej działalności milanowskiej była działalność 52 Plutonu, który wchodził w skład sił obsługujących placówkę zrzutów... Więc po rozkazie generała Sikorskiego o scaleniu wszystkich tych zbrojonych ramion, różnych ugrupowań w Polsce, w jednolitą siłę pod nazwą Armia Krajowa również ten proces ogarnął i Milanówek. Milanowska organizacja NOW, oparta w dużym stopniu o tych wysiedleńców z Wielkopolski weszła w skład Armii Krajowej razem z innymi ugrupowaniami, przede wszystkim Związkiem Walki Zbrojnej. Warto tutaj przy okazji zauważyć, że to był właśnie ten krytyczny moment w życiu NOW, która była potężną organizacją, liczącą zaprzysiężonych członków kilkadziesiąt tysięcy, że NOW rozpadł się na dwie frakcje, na frakcję, z której zrodziło się NSZ, niezbyt chwalebna frakcja, i frakcję, która się scalała ze Związkiem Walki Zbrojnej, [niezrozumiale, 00:30:27] AK. Milanowska organizacja NOW poszła do Armii Krajowej. I owocem tego scalenia było utworzenie w Milanówku ciekawych struktur, dlatego że jeden z plutonów milanowskich, 52, do którego ja należałem, wchodził w skład sił osłaniających i obsługujących akcje zrzutów zaopatrzenia, wsparcia dla Armii Krajowej, która była realizowana przy pomocy lotnictwa z zachodu. W okolicach Grodziska Mazowieckiego znajdowało się kilka placówek zrzutowych. Najważniejsza z mojego punktu widzenia była placówka o kryptonimie "Solica", znajdująca się na południe od Grodziska Mazowieckiego, bo dla niej zrealizowana została rekordowa liczba czterech zrzutów zaopatrzenia, jak i skoczków cichociemnych. Na "Solicy" lądowała między innymi jedyna kobieta cichociemna, pani generał Zawadzka. Milanowska Armia Krajowa obsługiwała również magazyn broni dla całego tego obszaru podwarszawskiego, nawet zahaczającego o Puszcę Kampinoską, broni zarówno zgromadzonej jeszcze z kampanii wrześniowej, jak i pochodzącej z tych zrzutów. Były to pistolety maszynowe, amunicja, materiały wybuchowe i również

sprzęt łączności, który pozwolił na utworzenie właśnie w Milanówku silnego ośrodka łączności radiowej z emigracją na zachodzie. Kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, Milanówek znajdował się w bardzo ciężkiej sytuacji, bo dwa dni przed wybuchem powstania, kiedy przygotowania trwały do pełnej mobilizacji tamtejszych środowisk tych zbrojnych, miała miejsce tragedia w Milanówku. Otóż Niemcy przypadkowo zatrzymali dowódcę AK, tego okręgu podwarszawskiego, i przy próbie odbicia jego osoby zginął dowódca AK w Milanówku, jak również towarzyszący mu szef dywersji. Był to cios, który uderzył w akowską organizację milanowską w taki sposób, że wybuch powstania w Warszawie nie rezonował mobilizacją w Milanówku. I sprawa jeszcze została pogłębiona 10 sierpnia, kiedy nastąpiła dekonspiracja i wpadka tego wspomnianego wcześniej magazynu broni zrzutowej. Niemcy przejęli wówczas cały zapas materiału dostarczonego dwa dni wcześniej czy kilka dni wcześniej z ostatniego zrzutu na "Solicy" i zamordowali całą załogę. I wspomnienie o tym tragicznym wydarzeniu jest do dzisiaj bardzo pielęgnowane w Milanówku, i każdego 10 sierpnia odbywa się tam uroczystość wspomnienia, utrwalania pamięci o tym tragicznym zdarzeniu. Bardzo niewiele brakowało, żebym i ja był również wśród tych pięciu. Bo mój pluton i my, członkowie tego plutonu, dowódcą którego był oficer rezerwy porucznik Ryszard Czaki, byliśmy zaangażowani właśnie w obsługę między innymi tego magazynu i odbywaliśmy rotacyjne dyżury w nim. I zginęli między innymi ci moi koledzy, z którymi byłem związany w konspiracji przez poprzedni okres. I zginął między innymi sierżant „Betka”, pan Rybicki, na którego ręce składałem tę wspomnianą niefortunna przysięgę polskich nacjonalistów w NOW, pierwszej generacji NOW. W powstaniu udziału nie brałem, podobnie jak inni koledzy w Milanówku. Byliśmy tylko świadkami tragedii przeżywanej przez stolicę, bo do Milanówka zaczęło przybywać mnóstwo warszawiaków ze stolicy wygnanych, przede wszystkim z Woli i z Ochoty, jak również ewakuowane szpitale. Na ewakuację z Warszawy zgodzili się nawet Niemcy. I Milanówek, który normalnie był miejscowością kilkutysięczną, może sześć, może siedmiotysięczną, w szczytowym okresie był zatłoczoną miejscowością liczącą około 40 tysięcy ludzi. 40 tysięcy mieszkańców. Ja pamiętam, że w zakładzie fotograficznym matki była urządzona noclegownia, z której ludzie korzystali, żeby po prostu mieć dach nad głową przez ten najtrudniejszy popowstaniowy okres. Do Milanówka również wędrowała władza podziemnego państwa polskiego. Kiedy warszawskie powstanie skapitulowało, to przez Milanówek wędrował między innymi dowódca Armii Krajowej, generał "Niedźwiadek". Matka mu nawet robiła fotografie do fałszywej kenkarty wyrabianej dla niego, jak i różne agendy podziemnego państwa polskiego, między innymi komórka foto. Otóż przy delegaturze rządu, która funkcjonowała w Warszawie, działała komórka zajmująca się mikrofilmami, z jednej strony odczytywanie mikrofilmów, które dostarczali kurierzy i skoczki, i spadochronowcy, jak i produkowaniem mikrofilmów do ekspedycji poczty na zachód przy

pomocy właśnie też kurierów. I sprzęt, który był do tego celu wykorzystywany, prowadził pewien warszawski redaktor, redaktor Wacław Żarski, i on, wychodząc po kapitulacji z Warszawy, wyniósł ze sobą cały ten sprzęt. Wyniósł, ale nie cały, dlatego że w trakcie powstania stracił podstawową jego część, mianowicie aparat Leica [marka]. I w Milanówku próbowano odtworzyć tę komórkę foto, żeby obsługiwać nową delegaturę, która się z Warszawy ewakuowała do Milanówka, i wszystkim dysponowali z wyjątkiem „Lajki” [spolszczona nazwa marki aparatu}. I poszukiwania, kto ma w Milanówku „Lajkę”, doprowadziły do matki, do właścicielki zakładu fotograficznego, która oczywiście rzeczywiście „Lajkę” miała, kupiła ją kiedyś od Niemca, bo niemieccy żołnierze też dużo fotografowali i ktoś musiał wywołać te ich negatywy, to przychodzili również do zakładu z takim zamówieniem. I przyszedł kiedyś oficer z „Lajką” na ramieniu, i matka się dogadała, i od niego tę „Lajkę” odkupiła. I w ten sposób myśmy „Lajkę” w domu posiadali. Przy czym „Lajka” odgrywała rolę, jak dzisiaj laptop odgrywa dla młodzieży. Dla starszych to jest terra incognita, rzecz, można powiedzieć, zaczarowana, a dla młodzieży to jest bułka z masłem, to jest rzecz normalna. Tak samo było w czasie wojny. Matka pracowała w zakładzie fotograficznym, korzystając ze sprzętu tradycyjnego, mieszkowego, nieraz kamery stacjonarne były... model dziewiętnastowieczny, z gruszką, migawką uruchomioną przy pomocy pneumatycznej gruszki, natomiast „Lajka” reprezentowała nową technikę, jak dzisiaj laptop nowy sposób łączności. I podział nastąpił taki, że matka posługiwała się swoją tradycyjną techniką, natomiast „Lajkę” obsługiwałem ja. I zostałem w ten sposób współnikiem pana redaktora Żarskiego, i uczestniczyłem w organizacji i pracy tej komórki foto, konspiracyjnej delegatury rządu działającej po powstaniu w Milanówku. Kiedy skończyła się niemiecka okupacja, redaktor Żarski wyjechał, a u nas został sprzęt z tej działalności. Obecnie jest on obecny w Muzeum Powstania Warszawskiego, bo ja nie czułem się właścicielem tego sprzętu. Sprzęt należał do delegatury rządu. Delegatury rządu nie było, no to wobec tego powędrowało wszystko do Muzeum Powstania Warszawskiego. Okres popowstaniowy w Milanówku, jak wspominałem, był typowym okresem przeludnienia Milanówka. Milanówek pękał w szwach. U nas, w naszym mieszkaniu, dochodziło do sytuacji, w których nocowało do szesnastu osób. Na balkonie nawet były wyłożone sienniki i ludzie na tym spali. I wśród tego tłumu znalazł się również, i tu ciekawostka, Żyd. Żyd, który zachęcony jeszcze na Pawiaku przez niejakiego Macieja Słomczyńskiego, sławnego później Joe Alex, autora różnych powieści kryminalnych. I znalazł się kiedyś Żyd, który do matki się zwrócił z pytaniem, czy mógłby przenocować również w zakładzie fotograficznym. I zgadło się na temat Pawiaka, bo okazało się, że ten Żyd jest uczestnikiem ucieczki z Pawiaka, która została zrealizowana w nocy z 30 na 31 lipca w Warszawie metodą podkopu do kanałów. Matka była na słowo „Pawiak” bardzo uczulona. Bardzo uczulona, można powiedzieć, nawet miała alergię na ten temat. Dlaczego? Bo w 1943 roku sama była klientką damskiej,

żeńskiej części Pawiaka, tak zwanej Serbii. I tu już się należy cofnąć z powrotem o rok. W 1943 roku, w pierwszych dniach września 1943 roku, do naszego domu, do naszego mieszkania w Milanówku załomotała i wtargnęła grupa niemiecka złożona z żandarmów i jakichś cywili, i jednego gestapowca umundurowanego, którzy po przeprowadzeniu rewizji w domu aresztowali matkę i siostrę, i wywieźli, najpierw do Grodziska, a potem do Warszawy, właśnie na Pawiak. Tam przesiedziało sześć tygodni, a mnie udało się przy pomocy bardzo skomplikowanej operacji doprowadzić do tego, że zostały z tego Pawiaka uwolnione, ale uczulenie na słowo "Pawiak" pozostało. I w ten sposób, będąc mieszkańcami Milanówka, tej miejscowości wolnej od Żydów, staliśmy się nagle schronieniem dla Żyda. Potem okazało się nie dla jednego a dla trzech, bo ten pierwszy znalazł w tym tłumie kilkudziesięciu tysięcy ludzi również dwóch swoich znajomych z Pawiaka, którzy zostali uwolnieni przez powstańców z tak zwanego obozu "Gęsiówka" w pierwszych dniach Powstania Warszawskiego. I oczywiście matka, mimo tego że miała świadomość, że chodzi o Żydów, zgodziła się udzielić całej trójce pomocy. I rzeczywiście, ta trójka korzystała w te ostatnie miesiące okupacji, bo przypominam, że chodzi o jesień 1944 roku i wiosnę, i początek roku 1945, korzystali z naszej pomocy. Cała ta trójka reprezentowała bardzo różne historie. W każdym razie tych dwóch, numer dwa, numer trzy, noszących polskie nazwisko Miodowscy, stracili całą rodzinę. Oni pochodzili z Warszawy i w warszawskim getcie stracili wszystkich bliskich. Bardzo szybko po odejściu Niemców, z Polski wyemigrowali, jeden do Stanów Zjednoczonych, drugi do Francji, natomiast ten numer jeden, który przybrał nazwisko z fałszywej kenkarty, pozostał w kraju i zaczął karierę typową dla początku PRL-u. Ta kariera trwała do 1968 roku. W 1968 roku otrzymał bilet w jedną stronę, czyli został wyrzucony z kraju i wyemigrował. Ciekawa rzecz, że wyemigrował do Niemiec, gdzie rozpoczął starania o odszkodowanie za szkody wyrządzone mu przez okupację wszechwojny, to odszkodowanie mu przyznano i można powiedzieć, że on sam o sobie mówił, że jemu jak jednemu na 10 tysięcy udało się okupację obrócić w pewien zysk, a nie tylko w straty. Cała ta trójka nieco później, w 1988 roku, dwadzieścia lat po 1968 roku, dogadali się między sobą, że złożą wspólny wniosek do władz Izraela, żeby przyznać naszej rodzinie to honorowe wyróżnienie Sprawiedliwych wśród Narodów Świata za pomoc im udzieloną. I rzeczywiście to zostało przyznane. Matce oczywiście pośmiertnie, bo zmarła w 1989 roku, natomiast ja z siostrą odebraliśmy w Warszawie zarówno dyplomy, jak i medal tego wyróżnienia. I jestem sprawiedliwy wśród narodów świata. Nie da się ukryć. Już jednym z ostatnich sprawiedliwych, który się przyczynił do tego, że przynajmniej trzech dotrwało do końca holokaustu.

Ryszard Witkowski: Już po wojnie ja miałem kilka spraw do zdecydowania. Między innymi, co robić dalej. Oczywiście jeszcze trwała wojna. Niemcy odeszli w styczniu 1945 roku, jeszcze kilka miesięcy trwała wojna i trwała mobilizacja młodzieży do armii, od której była ucieczka, również możliwa, na studia. I ja zdecydowałem się, mnie wojaczka regularna nie pociągała, natomiast pociągała mnie dziedzina, którą się interesowałem przez całą moją młodość, mianowicie lotnictwo. Budowałem modele latające, w czasie wojny studiowałem literaturę, dostępną na tematy lotnicze i kiedy usłyszałem, że w szkole inżynierskiej Wawelberga i Rotwanda w Warszawie utworzono kierunek lotniczy studiów, to natychmiast się tam zgłosiłem i tak się rozpoczęła moja kariera inżyniera lotniczego. Wawelberga skończyłem w 1949 roku i zacząłem pracę w Instytucie Lotnictwa, w którym jednak po roku przestałem pracować, bo zostałem z niego po prostu wyrzucony, w ramach akcji odpłacania byłym akowcom za przynależność do tej organizacji. Każdy, kto należał do AK i się z tym nie krył, w latach 1947-1948 stawał się przedmiotem, można powiedzieć, prześladowań. W pierwszym okresie, w 1945-1946 nie było to specjalnie odczuwalne. Myśmy na przykład zaczęli się szkolić na szybowcach i nikt nam w tym nie przeszkadzał. To było organizowane przez Ministerstwo Komunikacji, w którym pracowali przedwojenni urzędnicy, i polityczny czynnik nie odgrywał żadnej roli, czy można było latać, czy nie. Wszystko się odmieniło w roku 1948, kiedy rozpoczął się okres stalinizmu w Polsce. Wtedy wszystkich byłych akowców... i nawet takie pionki jak ja stały się przedmiotem prześladowań. Wyrzucono mnie z pracy w Instytucie Lotnictwa, zabroniono latania w aeroklubie i w ogóle kontakt z lotnictwem miałem zabroniony. I tak trwało przez pięć lat, do tak zwanej październikowej odwilży. Październikowa odwilż w 1956 roku sprawiła, że mogłem wrócić z powrotem do przemysłu lotniczego, do pracy w Instytucie. I wtedy stanęła przede mną sprawa, czy wracać na stare miejsce pracy, poprzednio byłem pracownikiem Zakładu Wytrzymałości, czy rozglądać się za czymś nowym. I to nowe akurat powstawało. Ponieważ to rozpoczął się okres zimnej wojny i Rosjanie aktywizowali wszystkich satelitów do produkcji uzbrojenia, między innymi uruchomiono w Polsce licencyjną produkcję, w Mielcu, myśliwców odrzutowych MiG-15, a w Świdniku nowych aparatów latających, do tej pory w Polsce nieznanymi śmigłowców, w Świdniku koło Lublina. I to stworzyło mi szansę wejścia w nową dyscyplinę, na której się nikt nie znał. Nie znałem się ja, nie znał się nikt. Na pytanie, na jakiej zasadzie helikopter lata, odpowiedź brzmiała: "Prawdopodobnie przy pomocy sił nieczystych". I w ten sposób stałem się jednym z pionierów tej nowej techniki w kraju. Pięciu ludzi, ja z instytutu, dwóch z fabryki i dwóch z wojska, zostali przeszkoleni w pilotowaniu tego urządzenia, a ja zostałem wysłany na staż do Moskwy, żeby się w Moskwie nauczyć śmigłowców, żeby odpowiedź z moich ust nie brzmiała: "To lata przy pomocy sił nieczystych", tylko lata przy pomocy określonych układów aerodynamicznych i mechanicznych. I tak zaczęła moja kariera śmigłowcowa. Ponieważ w

międzyczasie się nauczyłem po angielsku, to dzięki temu stałem się uczestnikiem działalności śmigłowcowej i rozwoju śmigłowców nie tylko w skali krajowej, ale w skali międzynarodowej nawet. Byłem uczestnikiem różnych kongresów i różnych delegacji służbowych za granicą, które zwykle były połączone z wymaganiem znajomości języka obcego. I w ten sposób zaliczyłem sobie w następnych latach praktycznie nieomal cały świat. Przy pomocy śmigłowców nie zawędrowałem tylko do Ameryki Południowej, nie zawędrowałem do Australii. Natomiast Azję, Afrykę, a przede wszystkim Europę i kraje europejskie stały się trendem, na którym miałem okazję działać. Oczywiście niosło to różne przygody i ciekawe przeżycia, które w sumie pozwoliły na to, że zacząłem na ten temat pisać. I w 1980 roku, na łamach "Skrzydlatej Polski" najpierw opublikowałem serię artykułów o lotach w Afryce, a później kontynuowałem tę działalność, opisując przeżycia z innych krajów, a nie tylko z Libii czy Nigerii. Później okazało się, kiedy po dwudziestu pięciu latach istnienia czy eksploatacji śmigłowców w Polsce nastąpiła w Polsce transformacja ustrojowa, to w tej wolnej Polsce, wolnej od cenzury, wolnej od interwencji z zewnątrz w twórczość pisarską, ukazało się drugie wydanie, opisujące już nie dwadzieścia pięć, tylko prawie trzydzieści pięć, czterdzieści pięć lat istnienia śmigłowców w Polsce. A na początku XXI wieku nawet trzecia wersja książki, opisująca to, o czym państwu opowiedziałem, czyli całe moje życie, i pod tytułem książeczka jest: "Sześć stopni swobody" numer trzy. Numer trzy, dlatego, że jest to trzecie wydanie. Cóż jeszcze dodać? W pewnym momencie osiągnąłem wiek emerytalny, wiek emerytalny, który dla zawodowego lotnika był nieco niższy od typowego. Wydawało mi się, że teraz zacznę odpoczywać. Tymczasem nie zacząłem odpoczywać, a zacząłem aktywność na innym polu niż do tej pory. Na polu społecznym stałem się współorganizatorem Klubu Pilotów Doświadczalnych, który funkcjonuje do dzisiejszego dnia, czyli już trzydzieści lat. Następnie, ponieważ, jak wspomniałem, miałem opanowany język angielski zostałem uczestnikiem pewnej operacji wykonywanej przez Amerykanów w Polsce, mianowicie oceny stanu lotnictwa cywilnego po transformacji ustrojowej w Polsce, które pozwoliły mi zaliczyć Amerykę i w której... nie było okazji, wcześniej tam latać. I co ciekawe, stałem się aktywnym współpracownikiem zarówno muzeów, jak i fundacji typu Fundacja imienia Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej". I tu należy wrócić jeszcze raz do sprawy aktywności akowskiej z Milanówka na terenie tej placówki zrzutowej w "Solnicy". Na "Solnicy" lądowali cichociemni... nie tylko materiałowe zrzuty, ale i lądowali zarówno cichociemni, czyli oficerowie wysoko wykwalifikowani, wyszkoleni na zachodzie, którzy wspierali Armię Krajową na terenie okupowanego kraju, jak i kurierzy polityczni. I kiedyś się tak zdarzyło, że właśnie na zrzutowisku, na którym miała miejsce polityczna akcja, mianowicie lądowanie doktora Röttingera, emisariusza rządu, tuż przed Powstaniem Warszawskim urządzono uroczystość upamiętnienia tego miejsca lądowania, że w tym miejscu wylądował emisariusz

rządu emigracyjnego z pewnymi wytycznymi dotyczącymi powstania. I ja wtedy poskarżyłem się organizatorom tej akcji, że w tym miejscu, gdzie jeden jedyny zrzut się odbył, ważny politycznie i historycznie, ale tylko jeden, odbywa się uroczystość upamiętnienia pamięci o tym fakcie, a na placówce zrzutowej, z którą ja byłem związany, lądowali zarówno cichociemni, jak i materiał wielokrotnie. Na to słyszałem: "A, to my coś w tym zrobimy". I rzeczywiście, minął rok i na "Solnicy", na tej placówce zrzutowej koło Grodziska Mazowieckiego, odbyła się rekonstrukcja akcji zrzutowej, przy aktywnym udziale ostatniego cichociemnego, jaki istniał. A lądowało w Polsce ponad 300 cichociemnych oficerów. Udział w tej uroczystości na "Solnicy" był o tyle interesujący, że ostatni żyjący cichociemny, pan Aleksander Tarnawski, skakał tego dnia również ze spadochronem. Oczywiście w tak zwanym tandemie, czyli nie samodzielnie, a w towarzystwie zawodowego skoczka, ale impreza była wzruszająca. I ja wtedy powiedziałem organizatorom tej imprezy, właśnie Fundacji imienia Cichociemnych Spadochroniarzy Armii Krajowej, że czy przypadkiem nie należałoby utrwalić pamięci również o miejscu, z którego cichociemni do kraju wyruszali. A na to usłyszałem: "O rany, rzeczywiście, przecież nie wszyscy dotarli". Niektórzy zginęli po drodze, zestrzeleni albo ofiary wypadków, albo spadochron się nie otworzył...". I w ten sposób powstała we Włoszech, w południowej Italii, na południowym skraju „buta” Włoskiego, powstała piękna tablica, upamiętniająca Brindisi czyli miejsce, z którego do Polski, do okupowanego kraju, wyruszali ci wyszkoleni oficerowie, nazwani później cichociemnymi. Później nazwani cichociemnymi. Bo wcześniej byli nazywani wprost skoczkami albo chomikami. Chomikami ze względu na pseudonim jednego z organizatorów tej całej akcji. I od tego momentu, ponieważ ten jedyny żyjący cichociemny, obecnie w stopniu majora, pan Tarnowski, liczy już sobie sto pierwszy rok życia, on jest honorowym żołnierzem jednostki wojskowej, która istnieje w Polsce, a która nosi imię Cichociemnych Żołnierzy Armii Krajowej. I jest to jednostka GROM-u, warszawska jednostka wojskowa GROM imienia Cichociemnych Żołnierzy Armii Krajowej. Tak się złożyło, że Tarnowski jest ostatnim żyjącym skoczkiem, natomiast nikt nie myślał o tym, że skokom podjąć trzeba przecież ogromny wysiłek ziemi okupowanego kraju który od tych cichociemnych... i towarzyszące im zaopatrzenie do kraju przyjmowali. I wtedy znaleziono mnie. A przyczyniła się do tego sprawa, że ja rzeczywiście uczestniczyłem w jednym z ostatnich zrealizowanych zrzutów z udziałem cichociemnych do kraju, w grudniu 1944 roku, który pewną pamiątkę z tego zrzutu, mianowicie kombinezon jednego z tych skoczków, ofiarowałem do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie. Jedyny kombinezon. Jedyny kombinezon z 300, które zostały do Polski wyekspediowane. Bo cichociemni mieli rozkaz zniszczenia po lądowaniu wszystkiego, co stanowiło ślad tego lądowania. I oni mieli rozkaz, i dla realizacji tego rozkazu nawet narzędzie w postaci łopatką stanowiącej wyposażenie tegoż kombinezonu, wykopać dół i zasypać ziemią. Jeden... Właściwie trzy

kombinezony zostały od tej egzekucji materiałowej uratowane. Jeden kombinezon powędrował do Grodziska Mazowieckiego, dwa do Milanówka, a jeden do mnie. Gdzie numer dwa zniknął, nie wiem. Natomiast ten mój jeden okazał się jedynym kombinezonem, oryginalnym kombinezonem skoczka spadochronowego z 1944 roku, który znajduje się w muzeum. Ja dzięki tej ofiarności, dzięki temu kombinezonowi awansowałem na, można powiedzieć, numer dwa celebry urządzonej przez środowisko gromowców i środowisko cichociemnych. W ten sposób w mojej osobie jest niejako honorowany udział ziemi w tej akcji zrzutowej. A rola ta była niebagatelna. O ile powietrze między Włochami, wcześniej Anglią, a krajem miało strukturę stosunkowo prostą, to kraj był obowiązany do utrzymywania łączności, utrzymywania magazynów, utrzymywania transportu i ubezpieczenia tych cichociemnych po lądowaniu. Rola ziemi była ogromna. Ja, jako chyba jeden z ostatnich reprezentantów tej ziemi jestem honorowany do dzisiejszego dnia. I to chyba wszystko, co miałem do powiedzenia.

Tomasz Sikorski: W chwili, kiedy chciałem wrócić do tematu zrzutów i do tego kombinezonu, to pan sam zaczął tę historię. Tak że nie musiałem już tego pytania zadawać, bo pan to zawarł, cofając się swoją opowieścią do czasu zrzutowego.

Ryszard Witkowski: Kombinezon istnieje w muzeum i ciekawa rzecz, że tego kombinezonu ja używałem do jazdy na motocyklu. Bo po prostu nie miałem świadomości, że to jest cenny eksponat, że to jest historyczna pozycja, która zasługuje na lepsze traktowanie. I jeździłem sobie po prostu na motocyklu, w deszczu, w słońcu. I on się, krótko mówiąc, lekko zużył. Natomiast czapka, którą przejął jeden z moich przyjaciół uczestników tej akcji zrzutowej, leżała u niego za szafą przez cały czas, przez ileś lat. I w tej chwili jest sytuacja taka, że wyblakły, zużyty kombinezon jest w towarzystwie nowiutkiej czapki. Do obejrzenia w Muzeum Wojska.

Tomasz Sikorski: Czy wiadomo, kto skakał w tym kombinezonie?

Ryszard Witkowski: Wiadomo. Mam trzy nazwiska, ale kombinezon aktualnie do której z tych trzech osób należał, nie wiem. Tego nie wiem. Natomiast nazwiska tych trzech skoczków, trzech cichociemnych, którzy lądowali w grudniu 1944 roku na "Solnicy", są znane.

Tomasz Sikorski: Czyli to jest kombinezon jednego z tych trzech?

Ryszard Witkowski: Jest kombinezon jednego z tych trzech. Dwóch to było kurierów politycznych, a jeden oficer. Bo trzeba pamiętać, jaka była sytuacja polityczna zaraz po powstaniu. Delegatura rządu funkcjonowała w ciągu dalszym, ale równocześnie już funkcjonował PKWN. I interwencja polityczna była

ważniejsza niż militarna w tym momencie, na przełomie 1944 i 1945 roku. I wiadomo jest, że tych dwóch... Z tej trójki był tylko jeden oficer zawodowy, a dwóch kurierów politycznych.

Tomasz Sikorski: I jeszcze chciałbym na kilka zdań przynajmniej wrócić do studiów. Studia, aresztowanie i szybownictwo.

Ryszard Witkowski: Studia kontynuowałem po powrocie z powrotem do Instytutu Lotnictwa i inżynierski stopień uzyskany u Wawelberga był trochę za krótki, i musiałem wiedzę pogłębiać, i dlatego skończyłem jeszcze kurs magisterski na Politechnice Warszawskiej. I na tym moja edukacja praktycznie się skończyła. Dalej już tylko zużytkowałem wiedzę, przekształcając ją czy realizując ją w czasie prób, bo byłem głównie zatrudniony w Zakładzie Badań w Locie Instytutu Lotnictwa, który już obecnie... kiedy Polska jest członkiem Unii Europejskiej, kompletnie sprawa oceny jakości sprzętu lotniczego uległa głębokiej zmianie. Kiedyś to była domena każdego kraju. Każdy kraj, który wyprodukował jakiś własny obiekt latający, przeprowadzał badania tego obiektu od początku do końca i wystawiał odpowiednie dokumenty. W tej chwili to jest domena europejskiej organizacji, która załatwia..., wszystko jedno, czy się urodził szybowiec czy jakaś lotnia w Polsce, czy w Niemczech, czy we Francji, to podlega ocenie europejskiej organizacji nadzoru technicznego lotnictwa. To znacznie poprawiło sytuację, bo w ten sposób uniwersalne są wystawiane dokumenty, a nie dokumenty kwestionowane przez byle kogo.

Tomasz Sikorski: Proszę nam jeszcze powiedzieć, ten uratowany Żyd numer jeden, czy on poszedł do Służby Bezpieczeństwa?

Ryszard Witkowski: Wiem, że krótko pracował w Służbie Bezpieczeństwa, ale bardzo krótko. Później rozpoczął studia zaoczne na Politechnice Warszawskiej. i przekwalifikował się na zawodowego dyrektora przedsiębiorstw budowlanych. I kiedy ja byłem aresztowany w 1949 roku, bo taki epizod też w życiorysie mam, że przesiedziałem kilka tygodni w Urzędzie Bezpieczeństwa, matka zwróciła się między innymi do tego numer jeden z prośbą o interwencję. "Józiu, pomóż!". On nazywał się Józef Grotte. Grotte było nazwiskiem skonstruowanym przez nas, kiedy wypełnialiśmy dla niego fałszywą kenkartę. Dla uczczenia generała "Grota" utworzyliśmy postać Józefa Grotte, urodzonego na Węgrzech. I chyba on wykorzystał rzeczywiście jakieś chody czy znajomości, że mnie z tego UB po kilku tygodniach zwolniono. Nie dając oczywiście żadnego zaświadczenia, ja nie mam żadnej podstawy do tego, żeby na przykład zapisać się do Stowarzyszenia Osób Prześladowanych, bo nie mam żadnego dowodu. Jedynym dowodem jest szkic na kawałku papieru, który ja zrobiłem w piwnicy tego Urzędu Bezpieczeństwa, jak ta piwnica wyglądała. I to jest jedyny dowód, że ja mam za sobą również i epizod więzienia Urzędu Bezpieczeństwa. W czasie

okupacji niemieckiej nie siedziałam, siedziała moja matka i moja siostra, natomiast ja doczekałam się zamknięcia tylko podobno w wolnej Polsce.

Tomasz Sikorski: A która to była placówka UB?

Ryszard Witkowski: To był rok 1949.

Tomasz Sikorski: Ale w jakiej siedzibie pan przebywał?

Ryszard Witkowski: Gdzie?

Tomasz Sikorski: W której placówce, tak.

Ryszard Witkowski: W Grodzisku Mazowieckim. Powiatowy Urząd Bezpieczeństwa w Grodzisku Mazowieckim. W tym budynku następnie było przedszkole, a teraz samorząd przerobił to na mieszkania. I ja kiedyś ze znajomym jakimś redaktorem pojechałem tam zobaczyć, jak to dzisiaj wygląda. Ci ludzie mieszkający w tym budynku nie mają bladego pojęcia, że się tutaj znajdowała katownia i niezbyt przychylne miejsce. Tylko piwnica. Jak żeśmy zeszli na dół do piwnicy, to pani się przyznała, że nie rozumie dlaczego w drzwiach jest takie okienko z klapką. A to była cela numer 6, w której myśmy... chyba nas sześciu albo siedmiu siedziało. I to wszystko. Mnie przesłuchiwał jakiś taki młody podporucznik w mundurze, bo oni bardzo eleganccy byli, ci śledczy, zawsze uprawiali przesłuchania w nocy, o 2:00 czy 3:00 nad ranem tylko: "Witkowski! Do śledczego!". I człowiek ledwo się obudził, i szło się na piętro: "Pisz życiorys!" I technologia pracy była bardziej nastawiona na psychologię niż na fizyczną przemoc. Ani jednego jakiegoś uderzenia, ani jednego ciosu nie było fizycznie. Nie było również obraźliwych słów. Było tylko: "Piszcie życiorys i ewentualnie fragment tego życiorysu i proszę skomentować". I to wszystko. Ale ten stereotyp, który krąży, że każdy Urząd Bezpieczeństwa to była mordownia, to w Grodzisku się nie sprawdza. Przez cały czas oni grali sobie muzykę na górze, a myśmy w piwnicy tej muzyki słuchali, a w czasie przesłuchania był *savoir vivre*.

Tomasz Sikorski: Jeżeli chodzi jeszcze o tę działalność pana po wojnie... znaczy, nie, pod koniec wojny, kiedy pracował pan właściwie dla delegatury, tak jak zrozumiałem, troszeczkę więcej, gdyby pan mógł opowiedzieć, czy pamięta pan jakieś pseudonimy z tego okresu, z kim były kontakty,

Ryszard Witkowski: Nie.

Tomasz Sikorski: wyjąwszy tego redaktora, o którym pan wspomniał.

Ryszard Witkowski: Milanówek... Fakt, że na jego terenie działała delegatura rządu po powstaniu, utrwalił w postaci tablicy pamiątkowej w budynkach, w których oni urzędowali. Ale poza dwiema-trzema osobami, które z tego środowiska znałem, to właściwie nikogo nie potrafię zidentyfikować. Tam, w Milanówku, w środowisku inteligenckim funkcjonował mecenas Adam Bień, który był wicepremierem chyba nawet. W każdym razie rangę ministra miał i był następnie przez Sowieców aresztowany. Więc z tych osób zaangażowanych w pracy delegatury rządu w Milanówku w okresie popowstaniowym to pamiętam tego redaktora Żarskiego, ze względu na kontakty właśnie z tą komórką foto, i pana mecenasa Adama Bienia, który był członkiem tej delegatury i który chyba zachęcił innych, między innymi delegata rządu Jankowskiego, do powędrowania do Milanówka po powstaniu, bo on był mieszkańcem osiedla. Syn jego Janusz, nieżyjący już, był dziennikarzem i to był kolega szkolny. I ja pamiętam mecenasa Bienia, rozpoznawałem go. Natomiast innych nie.

Tomasz Sikorski: A jakie czynności, jakie prace dla komórki delegatury pracownia wykonywała głównie? Jakie prace fotograficzne były wykonywane?

Ryszard Witkowski: Przede wszystkim myśmy robili powiększenia mikrofilmów, które przychodziły, po prostu myśmy mieli do dyspozycji powiększalnik, który też notabene pochodził właśnie ze sprzętu zakładu fotograficznego matki, jak również robiliśmy reprodukcje. Więc ta działalność polegała na robieniu powiększeń z mikrofilmów, które do delegatury napływały, jak i przygotowywanie mikrofilmów do ekspedycji na zewnątrz. Z tym że była różnica. Mikrofilm przychodzący zwykle miał postać... On powstawał gdzieś tam na zachodzie, w Londynie, podobnie jak ten nasz mikrofilm krajowy, przez obcięcie perforacji, żeby zwęzić taśmę, i następnie wyplukiwano celuloide, a samą emulsję z zawartym na niej negatywie nawijano na taką małą rolkę, która była gdzieś ukrywana. Albo w zapalniczce, albo w jakiejś tubie z pastą do zębów. To tej czynności obcięcia perforacji i wyplukania celuloide myśmy nie byli w stanie robić. I wyprodukowane przez nas mikrofilmy miały postać normalnej taśmy filmowej, zajmującej dużo miejsca. Oczywiście, co zawierała, jaką treść zawierała korespondencja, to myśmy nie mieli czasu nawet czytać tego. Tego było sporo. ale raz na jedną rzecz redaktor Żarski zwrócił mi uwagę i żeśmy wspólnie jedną stronę takiego mikrofilmu, który przyszedł razem z cichociemnym, odczytali. Chodziło o zawartość pasa, który cichociemny miał przy sobie. Otóż cichociemny oprócz... W ogóle oni byli ubrani po cywilnemu. Ubrani po cywilnemu, w ciuchy podobne do tych, jakie w kraju funkcjonowały. Bez żadnych naklejek, żadnych napisów. I oprócz tego kombinezon miał kabury na uzbrojenie, na pistolety, na mapy, na tę łopatkę, o której wspomniałem, która służyła do zakupowania jego... Więc ten kombinezon był, można powiedzieć, bardzo pojemnym magazynem. I oprócz tych kombinezonów skoczkiem mieli

zakładane również pasy, na których znajdowała się poczta i pieniądze. Ile tych pieniędzy było? Ile taki skoczek mógł taszczyć pieniędzy? Więc na mnie i na Żarskim zrobiło wrażenie przeczytanie, że w jednym pasie znajdowało się 10 tysięcy dolarów w złocie i pół miliona w papierowych pieniądzach. To były majątki, które oni mieli przy sobie i byli obowiązani po lądowaniu przekazać przedstawicielowi delegatury rządu obecnemu na zrutowisku. Bo jeżeli lądowali cichociemni, to przybywał również delegat właśnie delegatury rządu obowiązany do przejęcia poczty i pieniędzy. Innych ludzi oczywiście też zabierał ze sobą i zawoził pod opiekę tak zwanych ciotek. A pieniądze i poczta trafiały na stół tych polityków, którzy delegaturę tworzyli.

Piotr Życieński: Ponieważ uczył się pan też w Moskwie, w związku ze śmigłowcami, które jednak były wszystkie produkcji radzieckiej, czy też sowieckiej, jak to można tak nazwać, czy mógłby pan coś opowiedzieć o swoich kontaktach z Rosjanami? Jak to wyglądało i jacy to byli ludzie?

Ryszard Witkowski: A, owszem, owszem. Jak wspomniałem, nasza pierwsza piątka składała się z dwóch wojskowych, dwóch pilotów fabrycznych i mnie, reprezentanta Instytutu Naukowo-Badawczego, którego obarczono obowiązkiem nauczania się śmigłowców, nauczania się wyjaśnień, na jakiej zasadzie to pracuje, na jakiej zasadzie to leci. Napisałem na ten temat w następnych latach całą książkę, która też w paru wydaniach się ukazała i na którą się powołują do dzisiejszego dnia piloci tych jednostek śmigłowcowych w Polsce, zarówno w Dęblinie, jak i w Inowrocławiu, gdzie znajduje się pułk 56. baza śmigłowców bojowych. Oczywiście jednym z grzechów współczesnej władzy, którą uważam za niewybaczalny błąd, jest zerwanie tego kontraktu w sprawie uśmigłowcowienia naszej armii. Kiedy z Francuzami już była dogadana sprawa, nagle uległa sprawa, że tak powiem, zerwaniu i nasze lotnictwo śmigłowcowe, z małymi wyjątkami w wojsku, z wyjątkiem paru sztuk, pojedynczych egzemplarzy, które zlecają właśnie dla GROM-u... Notabene, kiedy zostałem niedawno zaproszony na przelecenie się jednym z tych amerykańskich śmigłowców w dyspozycji GROM-u, to nasza armia dysponuje sprzętem de facto wyłącznie produkcji radzieckiej. I to jest rzecz straszna z mojego punktu widzenia. Z mojego punktu widzenia, specjaliści śmigłowcowego i znającego się nieco na roli śmigłowców, jaką odgrywają w dzisiejszym lotnictwie na świecie, to to jest rzecz, której nie potrafię wybaczyć zarówno poprzedniemu, jak i obecnemu ministrowi. No ale to jest na marginesie uwaga, moja prywatna uwaga. Pyta pan o stosunek Rosjan. Więc kiedy władze PRL-u podpisały umowę o współpracy przemysłów w produkcji tych MiG-ów, jak i śmigłowców w Świdniku, zostałem wydelegowany, żeby się tam nauczyć tej branży. I jest to historia, która może być opowiadana godzinami. Mianowicie, kiedy w końcu ja i kolega wytypowany w podobnym charakterze w sprawach MiG-ów zostaliśmy skierowani do Moskwy, to w Moskwie pierwszym

pytaniem, które zadali nam funkcjonariusze ówczesnych KGB czy... "Po co wyście przyjechali?", no więc myśmy się powołali, że rząd PRL-u i rząd Związku Radzieckiego zawarł umowę... "Naprawdę? Coś takiego". I przez dwa tygodnie trwało poszukiwanie dokumentu, który uzasadnia, że tych dwóch innostraićców przybyło, żeby wtargnąć do przemysłu zbrojeniowego Związku Radzieckiego. Po dwóch tygodniach, które zresztą ja wspominam bardzo przyjemnie, bo myśmy dzięki temu wszystkie teatry, wszystkie wystawy, wszystkie muzea moskiewskie, wszystkie stacje metra z tym moim przyjacielem żeśmy zaliczyli. Nie byłoby ani czasu, ani pieniędzy, gdyby nas pogoniono od razu. A po dwóch tygodniach: "Rzeczywiście, no tak. To wy pojedziecie do Ałma Aty, do tego mojego przyjaciela od MiG-ów, a wy zostajecie w Moskwie, pójdziecie do Mila, do tego generalnego konstruktora śmigłowców". Ten mój przyjaciel zareagował: "Zaraz, zaraz, a co w Ałma Acie jest produkowane?" - Ił-14, samoloty pasażerskie. "Dobrze, ale ja jestem od MiG-15, a nie od pasażerskich samolotów" - "Niemożliwe". No to wobec tego znowu zaczęli sprawdzać i w końcu wysłali go do Tbilisi do Gruzji, do fabryki produkującej MiG-i, i tam on się tych MiG-ów uczył. A ja trafiłem do organizacji Mila. Mil to jest generalny konstruktor, bardzo, że tak powiem, ważna postać wówczas. I znalazłem się, dostałem przepustkę na pracę codzienną w Zakładzie Badań w Locie, na lotnisku Zacharkowo w Moskwie. I nagle się okazało, że są dwie Rosje. Że jest Rosja sowiecka, gdzie wszystko tylko i wyłącznie przez telefon, gdzie tygodniami trzeba czekać na decyzję, jest jakiś obcy świat jakiś, i druga Rosja, która jest Rosją z otwartym sercem, ciepłymi ludźmi i bardzo serdecznymi i miłymi, sympatycznymi osobowościami. Przekonałem się właśnie wewnątrz firmy. Znalazłem się wewnątrz jajka. Bardzo mili, sympatyczni i życzliwi ludzie, którzy wszystko zrobili, żeby mnie nauczyć maksimum tego, co można było. Pokazali mi nawet więcej, niż im było wolno, z czego wynikły pewne kłopoty, bo pokazano mi rzeczy super tajne, których nie miałem prawa jako cudzoziemiec na oczy oglądać. Tam zetknąłem się z tą wielonarodowością Związku Sowieckiego. Na przykład głównym pilotem doświadczalnym w sowieckiej, moskiewskiej firmie był Ormianin, Szewardnadze, Borys Szewardnadze. Bardzo miły. "Jak będziesz kiedy tam na południu u nas, to jak zapytasz się, to ci od razu pokażę, gdzie jest moja dacha". Oczywiście oni naciągali mnie na udział w meczach, na picie wódki, na różne takie, że tak powiem, eskapady. Bardzo mili, sympatyczni ludzie. Sam Mil zatwierdził program, według którego byłem uczony, i niedawno w Instytucie Lotnictwa dogrzebali się tego dokumentu zawierającego "program obuczenia [nauczania] polskiego specjalisty towarzysza [towarzysza] Witkowskowsko", chociaż ja nigdy do partii nie należałem. Tak że miałem ten pierwszy pobyt w Moskwie, właściwie cały czas mam w pamięci jako pobyt sympatyczny. Sympatyczny, miły i w środowisku życzliwych ludzi. I to później powtarzało się parę razy, bo ja w sumie, jak podliczyłem wszystkie dni, które przeżyłem na delegacjach w Związku Radzieckim, to około półtora roku przesiedziałem tam u nich.

Najdłużej siedziałem trzy miesiące kiedyś, kiedy nas zaprosili do przeprowadzenia badań... Bo była taka sytuacja, że Związek Radziecki nie był członkiem Międzynarodowej Organizacji Lotnictwa Cywilnego, a chcieli wyeksportować pewien śmigłowiec na zachód. I w tym celu potrzebowali dokumentu wystawionego przez kraj członkowski tej organizacji, IKO. I ponieważ Polska do IKO należała od samego początku, od utworzenia jej w czasie wojny, to Rosjanie nas zaprosili na bardzo poważną robotę z certyfikacji trzech typów sowieckich samolotów i śmigłowców i wystawienia im tego międzynarodowego dokumentu. Ten pierwszy odrzutowiec, który latał w Locie, Tu-134, później ten mały odrzutowiec, Jak-40, który latał w specpułku, i śmigłowiec K-26, który do Polski nigdy nie trafił, ze względu na to, że pochodził z konkurencyjnej firmy, to cały czas był sygnałem uznania dla nas, dla naszych kwalifikacji i naszych możliwości. Tak że pod tym względem ja do Rosjan jako takich nie mam pretensji. Przeciwnie, wspominam jak najbardziej życzliwie. Przy okazji, oczywiście tak jak powiedziałem, że w sumie trwało to około półtora roku, zdarzały się sytuacje poza moim życiem zawodowym. Otóż jedną z osób zaprzyjaźnionych z moją matką w Milanówku była pani, Rosjanka z pochodzenia, która jako żona polskiego inżyniera mieszkała w Polsce, a siostra jej w Rosji. I jak się ona, ta Rosjanka, dowiedziała, że ja do Moskwy jeżdżę, to zapytała mnie, czy ja bym dla niej nie zabrał paczki, normalnej, żywnościowej, z rzeczami, które w Polsce można było kupić, a w Moskwie były niedostępne. Ja powiedziałem, że zgoda. I w ten sposób poznałem rodzinę będącą wypisz wymaluj żywą ilustracją do Sołżenicyna i jego gułagu. Mianowicie okazało się, że mąż tej pani był bezpartyjnym specjalistą, pracownikiem służby dyplomatycznej sowieckiej akredytowanej w Polsce, w Warszawie, po powrocie do Moskwy został aresztowany i podejrzany o szpiegostwo oczywiście, że był polskim szpionem. I przepadł. Przepadł bez śladu. Nie ma go nawet na żadnej liście straconych czy byłych więźniów obozów. Więc ta pani, która sama skończyła studia, najpierw Smolny Instytut w Piotrogradzie, późniejszym Leningradzie, a następnie studia prawnicze, była jurystą, postarała się zmienić nazwisko, żeby odciąć się od tego wroga ludu, który zaginął, i syn jego urodził się w Warszawie... przepraszam, w Milanówku się urodził, wyrobiła dokumenty na inne nazwisko i na miejsce urodzenia w Moskwie i dzięki temu ten mój rówieśnik stał się oficerem sztabu floty w Moskwie i weteranem wojny, i w ogóle honorowanym obywatelem. Ale historia tej rodziny była właśnie taką ilustracją losu tysięcy, jeśli nie milionów rodzin rosyjskich. Ja ten kontakt właśnie z tą rodziną też wysoko sobie cenię, chociaż zupełnie według innych kategorii ją oceniam. Bo nie jest dla mnie typową rodziną i losem rodziny rosyjskiej, natomiast to środowisko przemysłowe to jest zupełnie inna dziedzina.